Horace B. Fyfe

Romans

(Romance)

`

Future Science Fiction, March 1953
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain
This text is translation of the short story "Romance" by Horace B. Fyfe, first publication in Future Science Fiction Stories, March 1953.
Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.
It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

Vrydański woźnica ostro krzyknął i baryłkowaty, wielozębny stwór, wlekący się między dyszlami wozu na dziesięciu krótkich mackach, zatrzymał się leniwie. Natychmiast chmury kurzu unoszące się z niebrukowanej głównej ulicy miasteczka zawirowały z wolna wokół pasażerów. Carl Leland zakrztusił się i zakasłał.

— Czemu w ogóle dałem się namówić na wyjazd z Terry i wzięcie tej roboty? — warknął.

Otarł twarz wielką chusteczką i zdjął czapkę, aby uderzeniem o udo otrzepać ją z kurzu, pokazując światu szczecinę krótko obciętych na jeża włosów. Zuahnu, vrydański nadzorca projektu rolnego, który kontrolowali, obserwował go troskliwie.

— Leland, czy kurz drażni twoje drogi oddechowe? — dopytywał się, przygotowując się jednocześnie do zejścia na ziemię. — Tak jak ci mówiłem, istnieje cały szereg tego rodzaju przykładów, pokazujących o ile prostsi jesteście od nas, zarówno pod względem budowy fizycznej, jak i stosunków społecznych.

— Tak, pamiętam — kwaśno odparł Leland.

Niestety, nie pozwalano mu o tym zapomnieć. Naprawdę szkoda, że nigdy nie poznał takiego Vrydanina, którego potrafiłby zrozumieć. Za każdym razem, kiedy przylatywał na tę planetę, jako koordynator projektów rolnych i hydro-elektrycznych, które Terranie pomagali prowadzić tubylcom, nie było niemal dnia, by któryś z Vrydan nie przechwalał się, że życie tutaj jest znacznie bardziej skomplikowane, niż to się wydaje Terranom.

„Ja też chyba potrafię dodać dwa do dwóch, równie dobrze jak te ośmiornice" — pomyślał. — „Są tacy protekcjonalni. I z jakiego powodu? Nie mam pojęcia! Zanim Terrańska Komisja Kosmiczna zdecydowała, że potrzebujemy tej planety na posterunek, była ona jałowa kompletnie i zacofana."

Zuahnu zeskoczył na chodnik z wysuszonego mułu, jego dwie kończyny kroczące ugięły się gładko, amortyzując uderzenie. Leland pomyślał o mnóstwie małych kostek, przypominających ludzki kręgosłup i zanotował sobie w myślach, by kiedyś spytać, czy Vrydanie często łamią nogi.

„Pewnie znów mi zacznie opowiadać, jak bardzo złożony jest jego organizm" — pomyślał.

— To my ich wszystkich ściągnęliśmy do miasta — zauważył woźnica, schodząc dumnie za Lelandem.

— Doskonale, Tivam — oznajmił Zuahnu. Potem podniósł swój ostry vrydiański głos do krzyku. — Kroee! Chodź tutaj! Popatrz, jakie pierwsze plony udało nam się zebrać!

Leland przyglądał się, jak Zuahnu, wymachując przywiezionymi z farmy próbkami, podszedł dumnie do Vrydanina, który właśnie wyłonił się z jednego z budynków. Z ciekawością porównywał ich ze sobą.

Obaj mieli jakieś pięć stóp wysokości. Twarze niemal sferycznych głów, aczkolwiek zniekształcone jeśli chodzi o wygląd i rozmieszczenie poszczególnych organów, odpowiadały z grubsza ludzkim. Krągłe ciała Vrydan, wspierały się na elastycznych nogach – tak naprawdę, zmodyfikowanych mackach – i zwężały się ku górze, gładko przechodząc w szyję i łącząc się z górnymi mackami.

Drugi z tubylców, Kroee miał ich pięć, ale Zuahnu sześć, co było w okolicach maksimum, o ile sobie przypominał Leland. To była kolejna kwestia, którą kiedyś zamierzał zbadać dokładniej. Vrydanie cechowali się wielką zmiennością osobniczą, co do koloru okrywy i innych pomniejszych organów, jak również pod względem liczby macek. Może wzorce na ich pierzastych okrywach były sztuczne, pomyślał sobie Leland. Części ciała Kroee, nie skrywane przez kilt, poznaczone były pionowymi szerokimi, nakładającymi się częściowo na siebie pasami, w kolorze złotym i ciemnobrązowym. Zuahnu miał jednolity kolor ziemistego, brudnego różu, poza jaskrawymi czerwonymi łatami na czubku głowy i zakończeniach wszystkich kończyn. Ludzie z farmy, których zbierało się coraz więcej, różnili się między sobą w podobny sposób.

Wygląda to jak w terrańskim miasteczku na Dzikim Zachodzie, w sobotni wieczór, pomyślał Leland, spoglądając po ulicy.

Żeby poczuć się jak na starej dobrej Ziemi, brakowało jeszcze tylko paru starożytnych kowbojów z sześciostrzałowcami w rękach, stwierdził. Ulica małego miasteczka nie była wybrukowana i chociaż budynki zbudowane były głównie z wysuszonego mułu, wrażenie było całkiem znośne. To było prowizoryczne miasteczko, sklecone po uruchomieniu w pobliżu przez Terran projektu budowy tamy i systemu irygacyjnego.

— Gdybym tylko miał jeszcze sześciostrzałowca, czymkolwiek one były — wymamrotał do siebie Leland, — postrzelałbym to całe miejsce w cholerę!

Za plecami słyszał odgłosy zamieszania wywołanego rozładunkiem kolejnych wozów z farmy. Zuahnu był tak zadowolony z jednodniowego plonu pochodzącego z miejsca, które niedawno było jeszcze nieomal pustynią, że ogłosił wolne popołudnie.

— Teraz ośmiornice zaczną tłoczyć się w tych… tych saloonach — warknął Leland, szukając właściwego słowa, — kawiarniach, czy jak to inaczej nazwać, zajadając się z entuzjazmem tymi swoimi niemożliwymi do przełknięcia słodkościami, aż dostaną wysypki pod futrem!

Zanim Terranie nie zaproponowali swojego, teraz tak wychwalanego, interesu – pomocy rolniczej w zamian za miejsce na budowę portu

kosmicznego i prawa do wydobycia vrydańskich metali na potrzeby znajdujących się w nim warsztatów remontowych – planeta była raczej niezbyt urodzajna. Nawet obecnie, vrydańska koncepcja hulanki polegała na opchaniu się do pełna, dziwacznymi smakołykami o niesamowitej wartości kalorycznej. Leland przypuszczał, że było to całkiem naturalne dla planety o takich brakach żywności, że liczba jej mieszkańców nigdy za bardzo nie wzrosła.

Dla niego osobiście, jaśniejszą stroną było to, że vrydańskie kawiarnie od czasu do czasu serwowały coś w rodzaju ale, z powodu jego wartości odżywczej. Przez cały upalny dzień, Leland marzył o piwie.

— Cześć, Leland! — pisnął ostro Kroee, trzymając koniuszkiem jednej z macek jakąś soczystą łodygę, którą podał mu Zuahnu. — Jak tam inspekcja, interesująca?

— Dobrze wiesz, że to ja byłem głównym aktorem — odciął się Leland. — Już przedtem miałem wystarczająco dużo informacji do moich raportów. Po prostu chcieliście, żeby wasi robotnicy rolni zobaczyli Terranina zajmującego się nadzorem czegoś, co powinniście nadzorować sami.

Kroee zmarszczył mięśnie wokół swych malutkich oczek, w wyrazie, który jak Leland zdążył się już zorientować, związany był z rozbawieniem.

— Jako dyrektor tego obszaru — odparł, — zachowywałbym się jak głupiec, świętując każdą wyciętą łodygę; podczas gdy obecność terrańskiego koordynatora, stanowi niezłą wymówkę.

Leland próbował odpowiedzieć mu groźnym spojrzeniem, ale zamiast tego uśmiechnął się szeroko. W czasie tych kilku miesięcy, podczas których razem pracowali, czuł do Kroee coraz większą sympatię. Vrydanin popatrzył po ulicy, teraz zapełnionej gośćmi i miejscowymi, którzy wysypali się na nią, aby zobaczyć co się dzieje.

— Udało mi się zdobyć dla nas stolik i coś do siedzenia dla ciebie — powiedział, machając w stronę znajdujących się za nim drzwi.

Leland ruszył za Kroee i Zuahnu do kawiarni, ich śladem podążał woźnica, Tivam. W środku, ten ostatni pożegnał się z nimi gestem, zaś Kroee powiódł pozostałych do znajdującego się w głębi sali, w rogu, stolika.

— Próbki są naprawdę doskonałe, Leland — stwierdził Vrydanin, rzucając otrzymaną od Zuahnu łodygę na niewielki blat z wypolerowanego zielonego kamienia.

— Czy twoje terrańskie projekty rozwijają się równie dobrze? — spytał Zuahnu.

— No cóż, na Ziemi — wyjaśnił Leland, chyba już po raz setny — nigdy nie koordynowałem tak dużego projektu. Zajmowałem się tylko swoją własną ziemią.

„Prawdę mówiąc”, pomyślał, „jestem po prostu zwykłym rolnikiem, który znalazł się daleko od domu. Och, to biznes na wielką skalę, naukowy i zmechanizowany, ale pomimo wszystko, jestem tylko rolnikiem.”

Pogładził się po szczecinie krótkich włosów na głowie, kiedy Zuahnu wygłosił łatwą do przewidzenia uwagę, że nawet Terranie tracą trochę ze swej prostoty, po przybyciu na Vrydę. Nie zrezygnował z włosów, pomimo tego, że wiedział iż Vrydanie zwracają uwagę na niewielką różnicę między łysą, a krótko obciętą głową.

„Co ja tutaj robię, próbując zaprzyjaźnić się z jednymi tubylcami, a jednocześnie staram się nakłonić inżynierów i agronomów do trzymania się z dala od innych”, zastanowił się Leland.

— Leland, napijesz się ale? — spytał Kroee, kiedy posługacz zatrzymał koło ich stołu.

Leland potwierdził, siadając przy stole. Kroee i Zuahnu stanęli obok niego i uprzejmie zajęli się przeglądaniem menu, zaś Terranin rozglądał się wokoło. Kawiarnia była wypełniona po brzegi, a przez szerokie okna po obu stronach wejścia, widać było kolejnych potencjalnych klientów. Tivam poszedł na drugi koniec sali, aby przyłączyć się do grupy stojących wokół innego wąskiego stolika. Leland zastanawiał się, jak Vrydanie mogą cieszyć się jedzeniem na stojąco i był wdzięczny Kroee za zorganizowanie pustej skrzynki po jedzeniu, której mógł użyć jako ławki.

Kiedy obsługujący odszedł z zamówieniem, dwójka vrydańskich oficjeli z zadowoleniem powiodła wzrokiem po otaczającej ich ciżbie.

— Zasłużyli na tych parę wolnych godzin — powiedział Zuahnu, pokazując leciutko owłosioną macką na tłum. — Nie spodziewałem się tak dobrych wyników, po mieszanej ekipie.

— Mieszana ekipa? — powtórzył Leland.

— Plony są tak duże — wyjaśnił Kroee, że musiałem dać mu dodatkowych pracowników z innych projektów, którzy nigdy wcześniej ze sobą nie pracowali. Żebyś słyszał ten pisk, jaki podniosło rządowe biuro przydziałów!

Zuahnu wydał siebie odgłos stłumionej syreny, wyrażając swe zrozumienie.

— Jako Terranin — mówił dalej Kroee — nie uwierzysz, ile kłopotów wymaga szybkie przesunięcie paru pracowników z jednego miejsca w drugie. Ci twardogłowi w szefostwie próbowali wymyślać wszystkie możliwe argumenty przeciwko, ale oświadczyłem, że inaczej plony zgniją na polach.

— Punkt dla ciebie! — pochwalił go uprzejmie Leland.

— W końcu zgodzili się ich wysłać, ale musiałem im obiecać pomoc w przy wyprostowaniu zapisów dla Biura Rejestrów.

— Zdaje się, że macie tu sporą papierologię — zauważył Leland.

Potem udało mu się mniej więcej wyjaśnić to wyrażenie, i zgodzili się z nim, że mają naprawdę potężną biurokrację.

— To musi być dziwne – żyć w takim społeczeństwie, gdzie nie ma konieczności utrzymywania takich szczegółowych rejestrów — rzekł Kroee.

— Och, trochę biurokracji też mamy — zapewnił Leland.

— Ale, z pewnością, nie tak skomplikowanej jak u nas? My od samego urodzenia jesteśmy pieczołowicie rejestrowani i zapisywani.

Leland westchnął, gładząc się po czubku głowy.

— Nie — przyznał zrezygnowany, — nie tak skomplikowanej jak u was.

Rozmowę przerwał obsługujący, przynosząc zamówione przez nich potrawy. Jeśli chodzi o Lelanda, było to pół tuzina piw, co bez wątpienia pozwalało Terranom na zyskanie na Vrydzie osobliwego szacunku. Był jednak mocno spragniony, zaś ale serwowane było w małych kubkach, o rozmiarach jak do wina. Vrydanie gustowali w przyjemnościach smaku – ale w ograniczonych ilościach, ponieważ wszystko co jadalne, było na Vrydzie drogie.

Kroee i Zuahnu zamówili jakiś rodzaj korzennie przyprawionej ryby, którą przyniesiono na miniaturowych spodkach, zamocowanych na długich nóżkach. Obsługujący wyciągnął cienki dzban i polał pachnące potrawy ciężkim vrydańskim miodem, a następnie odszedł pozostawiając towarzyszy Lelanda, aby smakowali efekt. Terranin przymknął z rozkoszy oczy, wychylając dwa ze swoich ale, a potem ponownie uważnie rozglądał się dookoła.

Do tej pory sala zaczęła już huczeć odgłosami wesołości i zadowolenia Vrydan, brzmiącymi nieco zbyt piskliwie i ostro dla uszu Terranina. Niektórzy z pracowników farmy, którzy znali parę terrańskich słów, przerywali swoje rozmowy, aby pozdrowić z szacunkiem Lelanda. Inni okazywali swą przyjaźń, trzepocząc w jego stronę koniuszkami macek. Przez krótką chwilę Terranina prześladowało poczucie, że obserwuje scenę z jakiegoś koszmaru sennego, ale to szybko minęło. Po spędzeniu kilku miesięcy na Vrydzie, przywykł już do spoglądania na obdarzonych mackami Vrydan, jako na osoby, niezależnie od ich wyglądu.

— Bardzo pana przepraszam — powiedział człowiek o szarym futrze, z sześcioma mackami, — ale czy nie dałby się pan zaprosić do nas na parę chwil rozmowy?

Lelandowi wydawało się, że rozpoznaje zapraszającego, jako kierownika, którego spotkał dzisiaj rano. Spojrzał pytająco na Kroee.

— Oczywiście — poradził mu ten drugi. — Jesteś popularny, ponieważ wszyscy widzą, jak wiele zawdzięczamy waszej wiedzy naukowej.

„Sądzę, że istotną częścią mojej pracy, jest dyplomacja”, pomyślał sobie Leland, kiedy poprowadzono go do stolika w pobliżu wejścia do kawiarni.

Jako przedstawiciel cywilizacji, która spodziewała się skorzystać na obecnym porozumieniu równie mocno, co Vrydanie, miał obowiązek być tak uprzejmy, jak to tylko było możliwe. Surowce z planety, były bardzo ważne dla terrańskich statków kosmicznych, chociaż może nie tyle z powodu ich ilości i jakości, co faktu strategicznej lokalizacji między Sol i regionem gwiezdnym, który właśnie eksplorowano.

Został przedstawiony po vrydańsku oraz przy pomocy gestów, towarzystwu złożonemu z czterech miejscowych, stojących wokół stołu. Dialekt był nieco obcy dla Lelanda, który do tej pory sądził, że jest w stanie całkiem dobrze rozmawiać z każdym Vrydaninem, ale powitanie zostało przeprowadzone przy pomocy trzepotania macek. Jeden z Vrydan

został wyekspediowany aby przynieść metalową skrzynkę, służącą mu jako stołek.

— Koledzy proszą mnie, abym zapewnił pana, że bardzo pana szanują — oznajmił szarowłosy. — Nazywam się Yilo. Bylibyśmy szczęśliwi, słysząc kilka pańskich i ziemskich opinii… O, właśnie przybyło pańskie siedzenie.

Skrzynka została podana przy pomocy łańcucha macek i ustawiona na honorowym miejscu. Leland usiadł na niej z westchnieniem ulgi, prostując zmęczone nogi. Kiedy obsługujący pojawił się, przynosząc zamówione potrawy, Leland stwierdził, że Yilo zamówił dodatkową porcję dla niego.

— Sześć spodków na wysokich nóżkach, a kelner nawet nie ma tacy — wymamrotał Leland pod nosem. — Ale by zrobił rewelację w terrańskiej restauracji!

— Słucham?

— Och… ee, mówiłem, że na Ziemi nie jesteśmy przyzwyczajeni do takich doświadczeń smakowych. Można powiedzieć, że żyjemy tam dużo prościej.

Yilo klasnął koniuszkiem macki o blat, zgadzając się z zadowoleniem, i powtórzył tę uwagę pozostałym, w ich dialekcie. Lelandowi udało się skosztować słodkawej masy, bez grymasu obrzydzenia na twarzy i udawał, że delektuje się nią tak jak Vrydanie. Z ulgą stwierdził, że podstawowym składnikiem nie była ryba.

Pojawiło się dwu nowoprzybyłych, wywołując chwilowe zamieszanie podczas przedstawiania się. Leland zrezygnował już z prób zapamiętania obco brzmiących nazwisk i starał się tylko wyglądać najsympatyczniej jak potrafił.

„To głupie”, pomyślał. „Nie można przecież oczekiwać, że będą umieli zinterpretować wyraz twarzy Terranina, ale co innego mogę zrobić w tej sytuacji?

Jeden z przybyszów powiedział coś, co wywołało ożywioną dyskusję. Najwidoczniej został zaproszony, aby przyłączyć się do towarzystwa, i wcisnął się na miejsce przy stole, zaś jego towarzysz odszedł do innej grupy. Jeden z początkowej czwórki zawołał coś przeszywającym głosem i oddalił się w inną stronę.

Leland miał tylko nadzieję, że to nie jego mina została źle zinterpretowana, zgodnie z jakimiś obcymi standardami. Popatrzył tęsknie do tyłu, w miejsce gdzie pozostawił swoje piwo, ale Kroee i Zuahnu prowadzili taką ożywioną rozmowę, że trudno było przyciągnąć ich uwagę.

— Jeśli już o tym mówimy — wymamrotał pod nosem Leland, — to całe to miejsce brzęczy jak jakiś ogromny ul.

Powiódł wzrokiem po kawiarni. Większość z obecnych, byli to pracownicy farmy projektu rolniczego. Wszędzie dookoła piskliwe głosy mieszały się ze sobą w tłumionym podekscytowaniu, macki nerwowo przecinały powietrze w ożywionej gestykulacji. Leland zastanawiał się już, czy nie odejść i nie spytać Kroee, co się dzieje, ale właśnie wtedy do stołu wrócił Vrydanin, który wcześniej od niego odszedł.

Leland rozpoznał go po poziomych, cynamonowych pasach na futrze, ale zaskoczyło go, że tamten przyprowadził ze sobą kolejne dwie osoby. Stół był już wcześniej tak gęsto otoczony, jakby grano przy nim w kości, a nie jedzono kolację.

Terranin odwrócił się do Yilo, oczekując tury kolejnych prezentacji, ale ten ostatni zajęty był rozmową przybyszami. Niezależnie od tematu dyskusji, skończyła się ona tym, że jeden z nich oddryfował, machając macką w stronę grupy z której przybył, i do której zdawał się wracać. Biorąc pod uwagę tego, który pozostał, Leland wokół zatłoczonego stolika naliczył siedem osób, nie biorąc pod uwagę jego samego.

— Co się dzieje? — spytał Yilo.

— Ach… wyjaśnię to później — odpowiedział pośpiesznie Yilo i wrócił do gorącej dyskusji.

Leland poczuł, że twarz mu sztywnieje.

„Co u diabła!", pomyślał. „Zaprosili mnie tutaj, a teraz – och, dobrze, nie ma się czym przejmować. Ta cała mackowata banda, to istny koszmar – ośmiornice, które próbują zachowywać się jak ludzie!"

Myślał nawet, żeby wstać i odejść, ale unoszenie się oburzeniem, pośrodku całego tego zbiegowiska, nie było w jego stylu. Było to zbyt śmieszne. Pomimo wszystko, jednak, mogliby mieć jakiś wzgląd na niego. Jeśli zaprasza się kogoś do rozmowy, to nie powinno się go potem ignorować.

Jeszcze raz rozejrzał się dokoła i znowu uderzyła go atmosfera skrytej ekscytacji, unosząca się w całej kawiarni. „Czemu oni wszyscy tak się tu gapią!" wymamrotał pod nosem.

Zaniepokojony, rozejrzał się ukradkiem po sąsiadach, aby sprawdzić, czy któryś z nich nie dosłyszał jego słów. Pewnie nie, stwierdził; Vrydanie słabo wychwytywali niskie tony. Ciągle zresztą żarliwie dyskutowali, jak gdyby pojawił się jakiś problem albo różnica zdań. Nieustannie trzech, czterech z nich mówiło jednocześnie. Lelanda bolały już uszy.

Wtedy zauważył krzątaninę przy innym stoliku, po drugiej stronie pomieszczenia. Wydawało mu się, że widzi tam Vrydanina, który niedawno zatrzymał się koło niego ze swym kolegą, tylko po to by odejść po krótkiej rozmowie. Wskazywał on w stronę stolika Lelanda i jego towarzyszy. Kilku innych Vrydan, stojących obok, wydawało się zachęcać jednego spośród nich, aby przyłączył się do grupy Yilo.

— Skąd to całe poruszenie, Yilo? — zaczął dopytywać się Leland.

Tym razem, został zupełnie zignorowany. Wyprostował się więc i zaczął szukać w myślach wymówki, aby odejść.

Zauważył, że Zuahnu i Kroee przywołują go gestami. Rozglądając się wokół siebie, pomyślał, że to chyba zupełnie nieprawdopodobne, ale o nim zapomniano.

Leland przesunął stopy wzdłuż boków metalowej skrzynki i dyskretnie wstał. Vrydanin, który nachylał się nad stolikiem, z macką zwieszającą się

łukiem nad ramieniem Terranina, przesunął się pośpiesznie na zwolnione miejsce.

— Dokładam dwanaście, że im się nie uda! — wydawało mu się, że Zuahnu mówi do Kroee, kiedy do nich dotarł.

Obaj urzędnicy wyjęli swoje portfele z pieniędzmi na stół. Obok każdego leżał stosik srebrzystych monet. Cztery puste naczynia na długich nóżkach, stały odsunięte na bok. Leland zastanawiał się, o co się założyli.

— Jak oni sobie radzą? — spytał Kroee, zaraz kiedy tylko zauważył, że Leland stoi koło nich.

— Kto?

— Yilo i ci wszyscy koło niego. Czy uda im się to zrobić?

— Co przez to rozumiesz? — ostro rzucił Leland. — A skąd ja mam wiedzieć, co oni tam robią?

— Przecież byłeś u nich, dokładnie w środku tego wszystkiego! — zapiszczał ostro Zuahnu. — Opowiedz nam! Spora sumka zmieni właściciela w zależności od tego czy im się uda!

— Tak, mów! — popędzał go Kroee. — To przecież nie jest żadna tajemnica. Wszyscy w kawiarni… Hej! Zuahnu! Idzie do nich ósmy! Ciągle mówisz, że chcesz dołożyć dwanaście?

Zuahnu posunął stosik swoich monet wyzywająco do przodu, ale Lelandowi wydawało się, że ma wątpliwości. Terranin widział, że niechętnie, ale Vrydanin w końcu podszedł do stolika Yilo. Zaczęto go natarczywie o coś wypytywać.

Potem tryumfalnie strzelił w górę las macek. Obcy został gorąco powitany w grupie. Jedna osoba z niej zerwała się, aby wypaść przez drzwi na ulicę, tak jakby niosąc jakąś pilną wiadomość.

Tu i ówdzie, przy stolikach, stosiki monet przesuwane były to w jedną, to w drugą stronę, wkładane do portfeli albo ustawiane obok innych błyszczących kolumn.

— Czy ktoś w końcu mi powie… — żałośnie zaczął Leland.

— Potem, potem! — Kroee z roztargnieniem machnął w jego stronę koniuszkiem macki. — Siadaj, Leland! Zamówię ci świeże ale.

Leland westchnął.

— W porządku — stwierdził z rezygnacją. — Wracam za chwilkę; zostawiłem tam swoją skrzynkę.

Ruszył, lawirując między stolikami i stojącymi przy nich gośćmi, w stronę grupy tubylców koło Yilo. Ci byli za bardzo zaabsorbowani sobą nawzajem, aby zauważyć, że podchodzi.

— Czy mógłbym przeprosić? — spytał głośno, klepiąc Vrydanina z czterema mackami, w tylne wybrzuszenie odpowiadające ramieniu.

Tamten pośpiesznie rozejrzał się dookoła i zapiszczał do niego w dialekcie, z którego Leland nie zrozumiał ani jednego słowa.

„Kolejny, którego ściągnięto pośpiesznie do tego okręgu na żniwa”, pomyślał sobie.

Obejrzał się do tyłu na Kroee, ale tamten zajęty był liczeniem monet razem z Zuahnu. Leland w obserwującym tłumie dostrzegł znajomą postać.

— Tivam! — zawołał na woźnicę, który przywiózł ich do miasteczka. — Podejdź tu, i powiedz im, żeby oddali mi mój stołek!

Tivam uprzejmie pośpieszył z pomocą. Leland wyjaśnił mu swój problem, w znanym sobie dialekcie, Tivam przekazał go ostrymi piskami czteromackiemu, a ten ostatni usunął się z drogi.

Tivam sięgnął pod czyjąś macką, koniuszek której bębnił emfatycznie po stole i złapał za skrzynkę. Miał ją właśnie podać Lelandowi, kiedy jeden z mówców zauważył to i wsiadł na niego z oburzonym piskiem.

— Hej! A co ty z tym robisz! — dopytywał się Yilo. — To jest dla pana Lelanda, Terranina. Odstaw to na miejsce!

— W porządku, Yilo — przerwał mu Leland, sięgając po skrzynkę. — To ja poprosiłem, żeby mi ją podał.

— Och, to pan już odchodzi? Rozmowa z panem była prawdziwą przyjemnością, przyjemnością, którą mam nadzieję kontynuować w przyszłości.

— Cała przyjemność po mojej stronie — skłamał Leland, z czystą szczerością na twarzy. — A teraz, jeśli pan wybaczy mnie, oraz mojemu przyjacielowi…

— Zdaje się, że nie miałem przyjemności go poznać… — oznajmił Yilo, spoglądając badawczo na Tivama.

Leland westchnął i dokonał krótkiej prezentacji. Odzyskawszy w pełni władanie nad swą skrzynką, mógł poświęcić kilka chwil innym, chociaż czynił to niechętnie. Tivam, ku jego rozdrażnieniu, zachowywał się, jakby przyciągnięcie uwagi Yilo bardzo go uradowało. Leland wycofał się, pozostawiając ich, toczących pośpieszną rozmowę.

Był już w połowie drogi do Kroee, wykręcając się to w jedną, to w drugą stronę, aby uniknąć uderzania innych uczestników imprezy, kiedy przez kawiarnię przebiegło gigantyczne westchnienie.

Po nim nastąpiła martwa cisza.

Zaskoczony Leland, rozglądał się dokoła, wystraszony. Nikt, ku jego ogromnej uldze, nie zwracał na niego żadnej uwagi. Nieprzyjemnie świadom głośnego tupania swych nóg o twardą podłogę, dowlókł się do stolika swoich przyjaciół i usiadł.

Yilo wydał z siebie urwany okrzyk. Jednym uderzeniem macki zmiótł kamienny stolik ze swojej drogi i ruszył w stronę drzwi. Tivam i pozostała szóstka udała się za nim, ale inni Vrydanie w kawiarni czekali bez ruchu, dopóki cała grupa nie przecisnęła się przez drzwi i nie wyszła na ulicę.

Wtedy rozpoczęło się powszechne poruszenie, wszyscy obecni na sali, zaczęli przemieszczać się do frontowych okien, wznawiając jednocześnie swoją aktywność głosową.

— Kroee!

Leland usłyszał swój krzyk, którego tonacja niepokojąco zbliżyła się do pisku Vrydan. Przerwał więc i spróbował się opanować.

— A, tak — zorientował się Kroee. — Muszę ci to wszystko wyjaśnić.

— Jeśli nie sprawiłoby ci to zbyt wiele kłopotu — wykrztusił Leland.

Wykonał kilkukrotnie rytuał przeczesania włosów palcami, odzyskując nieco spokój.

— To może być trudne do zrozumienia — powiedział Kroee, — szczególnie jeśli weźmiemy pod uwagę małe prawdopodobieństwo sukcesu czegoś takiego. To kolejny przykład stosunkowo dużej złożoności naszego życia i powód, dla którego utrzymujemy tak szczegółowe rejestry osobiste.

Mówiąc to, przez cały czas spoglądał w kierunku drzwi kawiarni, a teraz wyciągnął się, aby zerknąć nad głowami zebranych przy frontowych oknach gości. Wykorzystując swój terrański wzrost, Leland bez trudu mógł wyjrzeć na zewnątrz. Niewielka grupa Vrydan, prowadzona przez Yilo, brnęła z samozaparciem przez zalegający ulicę piach. Na chodnikach widać było zaledwie paru gapiów, ale Leland zauważył ruch w większości okien.

— Ktoś właśnie wyszedł z innego budynku i czeka na nich — relacjonował Kroee. Wyjrzał ponownie i rozpoznając cynamonowe pasy na futrze, dodał: — On już był z nimi wcześniej.

Kroee i Zuahnu spojrzeli znacząco po sobie.

— Udało im się! — pisnął Zuahnu.

— Widzisz — wyjaśniał Lelandowi Kroee, — oni zebrali się razem, aby dokonać aktu, który może nie jest tak zupełnie nielegalny, ale tak trudny do zorganizowania bez Biura Rejestrów, że rząd zaczął kwaśno patrzeć na amatorskie próby jego przeprowadzenia.

— To może być bardzo irytujące — dodał Zuahnu, — dlatego właśnie wszyscy byli tacy rozbawieni, widząc to obejście zaleceń rządowych.

Leland zobaczył, że dziewiąty Vrydanin został wchłonięty przez maszerującą ósemkę. Wszyscy skupili się ciasno i szli ulicą, bardzo zdecydowanym krokiem. Skręcili za róg, znikając z pola widzenia.

— Opowiadałeś mi, o ekstremalnie prostych formach miłości i małżeństwa na Ziemi — mówił Kroee. — Wyobraź sobie teraz, jak skomplikowane mogłoby to być, gdybyście nie wyewoluowali w tak standaryzowanych postaciach fizycznych, w których do przeniesienia wszystkich rodzajów genów, potrzebne są tylko dwie płci!

— Dlatego właśnie, tak wielu stawiało przeciwko nim — wtrącił Zuahnu. — Bez złożenia aplikacji do miejscowego Biura Rejestrów, szanse przypadkowego zebrania się wszystkich dziewięciu płci, w ograniczonej liczbowo grupie nieznajomych – no cóż, sam możesz je sobie oszacować!

Razem z Kroee powoli podążali za Lelandem do ich stolika.

„Dziewięć!”, pomyślał Terranin, w oszołomieniu szukając swojej skrzynki. „Nic dziwnego, że mają tak niską liczbę ludności! To jest tego przyczyną, a nie efekt słabo rozwiniętego rolnictwa.

Zauważył fałdki rozbawienia wokół oczu Kroee i osuszył jeden ze swych małych kubków piwa.

— Najzabawniejsze jest jedno — stwierdził Vrydanin. — Stali już na krawędzi porażki, zanim nie udało im się wciągnąć do rozmowy Tivama. Muszę pamiętać, żeby powiedzieć o tym Yilo!

— Co za wspaniały przykład koordynacji! — pisnął z zachwytem Zuahnu. — Trzeba było Terranina, żeby to zaaranżować! Będzie się o tym mówiło przez dziesiątki lat!

Leland jęknął i kiwnął na przechodzącego kelnera.

— Wolałbym, żebyście zachowali to dla siebie — powiedział.

— Ale dlaczego? Z pewnością twoi terrańscy przyjaciele, będą zachwyceni tak dobrą reklamą!

— Obawiam się, że oni nie nazwaliby tego koordynacją — odparł Leland. — Podobnie jak w wielu innych kwestiach, Terranie mieliby prostsze określenie dla mojego udziału w tej sprawie. Zamówisz mi kolejny tuzin piw, co Kroee?

KONIEC